



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Władysława Bednarek

## Strach, choroby i praca

Urodziłam się w dawnej Polsce B we wsi Czeberaki, gmina Milanów, powiat Radzyń Podlaski, odległej o 7 kilometrów przez las do Parczewa.

W 1939 roku mieszkaliśmy w nowym domku pod lasem Jasiennikiem. Ja najstarsza miałam 10 lat, siostra Stasia 4 lata, brat Tadzio 3, a w sierpniu urodziła się Marysia. Rodzice byli rolnikami i gospodarowali na 5 hektarach.

Wszystko układało się dobrze, gospodarstwo było po scaleniu, mieliśmy pięknego konia – duma ojca, dwie krowy, świnie, kury.

### Wojna i pierwszy strach

Strach towarzyszył mi całe dzieciństwo i młodość. Nie brałam udziału w walce, nie byłam wywieziona do obozu, żyłam na wsi jak setki tysięcy polskich dzieci. Było to na początku września 1939. Pamiętam samoloty niemieckie, jak leciały na wschód akurat nad naszą kolonią. Ojca nie było w domu, mama karmiła małeństwo piersią, siedząc na progu. Samoloty dudniły wysoko. Naraz trzy z nich zniżyły się i zrobiły zwrot nad lasem. Przeleciały tuż nad naszymi głowami, prawie w tej samej chwili usłyszeliśmy straszny huk, samoloty wzbily się w górę i zawróciły na wschód. Siedzieliśmy pod domem jak sparaliżowani, gdy usłyszeliśmy krzyk: Julek zabity, bomba spadła na niego! Matka z krzykiem wetknęła mi dziecko w ręce i wybiegła na drogę. Położyłam dziecko w kołysce i pobiegłam za matką. Jakies pół kilometra od naszego domu kilkanaście osób dorosłych i dzieci kłębiło się nad olbrzymim dołem wśród piasku i ziemi. Śmierdziało dymem, siarką czy czymś, co mnie wydawało się piekłem. Bomba spadła na przydrożny ugór, a mój ojciec akurat szedł tą drogą z widłami na ramieniu. Jak przelatowały samoloty, on wracał z roboty i zatrzymał się koło znajomych. Wspólnie wypatrywali samolotów, wskazując w górę widziami. W chwilę po przelocie rozeszli się, każdy do swojej roboty. A ojciec szedł do domu i wtedy samolot zawrócił i rzucił bombę. Płacz, krzyk matki, jakieś chaotyczne poszukiwania, w bardzo głębokim dole pojawiła się woda, a ja stałam skamieniała, tuląc do siebie młodsze rodzeństwo, trzęsąc się ze strachu. Tymczasem daleko od dołu, spod zwałów piasku wygramolił się ojciec. Nic mu się nie stało, trochę przygluchł. Ludzie dziwili się, że Bóg go tak uchronił od śmierci, a ojciec mówił, że to dlatego, iż ziemia była miękka, piaszczysta i bomba wryła się głęboko w piasek, odłamki pozostały w ziemi.

Od tej pory wszyscy ludzie uciekali do lasu, jak tylko usłyszeli zbliżające się samoloty. My też w wielkiej panice chowaliśmy się w lesie, tylko malutka Marysia zostawała w domu, w biegu i strachu nikt o niej nie myślał.

Życie musiało toczyć się dalej, krowy trzeba było rano wypędzić na ściernisko pod lasem. Stojąc na miedzy przy krowach, nie zdążyłam skryć się w lesie. W strasznym lęku patrzyłam na zbliżające się samoloty, a tu słyszę ta-ta-ta... krowy uciekły do lasu, a ja stałam na tej miedzy, przerażona, skamieniała. Potem, gdy z matką szukałam krów w lesie, ona powiedziała mi, że trzeba się położyć pod miedzą lub uciekać do lasu.

## Od jesieni 1939 roku do grudnia 1941 roku

Jakoś się uspokoiło. Jak przyszli Niemcy (wojsko), ojciec przeczytał na ich paskach-klamrach „Goot mit uns”, co tłumaczył nam, że znaczy „Bóg z nami”, czyli Niemcy nie będą tacy źli, bo wierzą w Boga. Ale konia zabrali do wojska, trzeba było oddać zboże i świnie na kontyngent. Za to ojciec przywoził z młyna jakieś zmiotki, niby mąkę, z której nie można było upiec chleba. Zaczęto chować zboże przed Niemcami i świniom zmieniać kolczyki, że niby nie rosły. Baliśmy się, że żandarmi odkryją te podstępny. Ale to były sprawy rodziców. Pamiętam, że nawet zimą chodziłam do szkoły; w latach 39–40 uczyła nas pani Kowalska. Nie było tylko w szkole biblioteki, Niemcy kazali wywieźć książki do gminy. A ja tak chciałam czytać, jeszcze w drugiej klasie przeczytałam grubą książkę „Książd Kordecki”, a teraz można było czytać pisemko „Ster”. Nauczycielka uczyła nas języka niemieckiego, pamiętam z tamtych lekcji wszystkie słówka i zdania. Ale chyba na jesieni 1940 roku nauczycielkę Niemcy aresztowali i wywieźli do więzienia. Nie mogłam tego zrozumieć; taka dobra pani, nie złodziejka; do więzień, według mnie, wsadzało się tylko bandytów i złodziei. Strach, że wszystkich, co czytają, wsadzą Niemcy do więzienia, nie przeszkodził mi w wyszukiwaniu na strychu starych książek i w potajemnym czytaniu. Mama gonila mnie od tego czytania. Zimą uczyła mnie szycia, łatania, przędzenia lnu, robić na drutach. Wiosną i latem była praca w polu i gromadzenie zapasów na zimę, zbieranie i suszenie ziół, jagód, grzybów, no i cały rok pomoc w sprzątanii, praniu, gotowaniu oraz opieka nad młodszym rodzeństwem. Bo pasania krów na łące nie uważałam za robotę. Jakoś tak pod koniec zimy 1940 roku ojciec schował książki, które były na strychu (stare podręczniki, jakieś wiersze). Powiedział, że nie można ich czytać ani przeglądać, Niemcy nie pozwalają i można być za to zabitym lub wywiezionym do więzienia.

Ojciec zrobił ze starej maszynki od mięsa taki młynek do śrutowania zboża. Żyta i pszenicy nic oddawał na kontyngent tylko chował w piwnicy, wykopanej na polu. Nikt z nas nic wiedział, gdzie to jest, młodsze dzieci nie wiedziały nic, tylko ja byłam ciekawska. Ojciec krzyczał na mnie i brał się za pas, chociaż nie bił. Mówił, że najlepiej nic nie wiedzieć, bo Niemcy mogą za to zabić. Mama utulała mnie, mówiąc: jesteś mądra dziewczynka, nie powiesz o tym nikomu!

Tak się bałam o wszystko. Wiedziałam, że żandarmi zabrali sołtysa i gdzieś zaginał, zabrali też Staśka – parobka od Kalinowskich, ludzie nie chcieli dawać swoich starszych dzieci na roboty do Niemiec, więc były łapanki. Przyjeżdżali żandarmi samochodem i chodzili po domach. Wieś obstawiono patrolami, ale w domach byli zwykle sami starzy i małe dzieci. Inni chowali się gdzie kto mógł, w każdej zagrodzie była jakaś kryjówka. W jednej z łapanek schwycono mego kolegę, był bardzo wysoki, rosły i mało rozgarnięty, powolny. Nazywał się jak wódz – Adolf, wołaliśmy na niego „Adoleta”, nigdy nie wrócił do rodziny.

Po tym wypadku ojciec zrobił kryjówkę w stodole, gdzie chowałam się, gdy tylko przyszła wieść o łapance; ludzie ostrzegali się. Wtedy ojciec mówił: Uciekaj, wprawdzie jesteś mała, ale im nie można wierzyć. Ojciec był starszym człowiekiem, takich nie brali, a mama miała dziecko, myślała, że matki od dzieci nie zabiorą.

Matka była mała, drobna, zawsze zabiegana przy gospodarstwie i swojej gromadce. Ale w tych ciężkich czasach umiała pomóc innym ludziom. Przychodziły do nas ukradkiem z pobliskiego Parczewa Żydówki z prośbą o radę i pomoc. Matka dzieliła się z nimi ostatnim kawałkiem chleba, pocieszała, dawała medalik czy różaniec, aby stworzyć pozory w razie spotkania z obcymi. Oczywiście, wszystko odbywało się w tajemnicy przed dziećmi, ale ja zawsze umiałam podpatrzeć, chociaż bardzo się bałam. Jednak nie było tak źle, mama i tato chronili nas przed głodem i zimnem. Za owies dostarczany na kontyngent ojciec miał trochę pieniędzy, kupował naftę i sól, krowy dawały mleko. Brakowało mi bardzo słowa pisanego. Gdy znalazłam nawet w błocie kawałek starej gazety, suszyłam go, prostowałam i czytałam. Raz dostałam od ciotecznej brata Józefa książkę do historii (on był według mnie bardzo mądry, chodził przed wojną do 7 klasy w Milanowie). Przeczytałam tam o obronie Głogowa i wtedy jeszcze bardziej zaczęłam się bać Niemców. Ojciec zauważył, że czytam, a jak zorientował się co, skrzyczał mnie i brata i zapowiedział, że da nam lanie, jeżeli jeszcze jaką książkę przyniosę. Tę schował, dopiero po wojnie ją oddał.

## Jak skończyło się moje dzieciństwo

W sierpniu 1941 roku mama urodziła piąte dziecko, chłopczyka Lucia. Przybyło mi roboty. Rodzice musieli odpracować za pożyczenie konia, bo przecież naszego zabrali, ja też pomagałam w polu. Stasia miała już 6 lat, więc pasła krowy u ciotki, Tadzio pasał nasze.

Pamiętam, jesienią, może w listopadzie, bo było bardzo zimno, trafiali do naszego domu pod lasem jacyś ludzie. Najczęściej w nocy. Rodzice porozumiewali się z nimi w niezrozumiałym dla mnie języku. Byli wystraszeni, dawali im jakieś stare ubrania, trochę jedzenia, nawet surowe kartofle, stare grabie czy widły. Zwykle nie wpuszczano ich do kuchni, tylko przyjmowano w sieni lub w komorze. Potem ojciec odprowadzał takiego przybysza do lasu i tam pokazywał drogę do Bugu. Oczywiście, dzieci nie wiedziały o tych wizytach, ale ja nawet słyszałam i zapamiętałam jak mama mówiła: No, idi z Bogiem... idi... A do siebie szeptała: Takie nieszczęście, jak tu przeżyć?

Był początek grudnia 1941 rano, deszcz mżył, ziąb przenikał do kości. Ojciec pożyczył konia i pojechał do lasu po drewno na opał, my dzieci siedzieliśmy w kuchni, czekając na śniadanie czyli na postny krupnik. Najmłodszy spał w kołysce. Mama krzątała się przy garnkach. Nagle w sieni skrzypnęły drzwi, coś zaszurało, padło. Gdy matka wyszła, krzyknęła na nas: Do łóżka, wszyscy, niech mi się tu nikt nie kręci! Wciągnęła do kuchni jakiegoś mężczyznę, posadziła na stołku przy piecu, opierając go o murek. Mężczyzna nie reagował, jak dziecko dał się posadzić, wstrząsały nim dreszcze. Matka wzięła z kuchni garnuszek z ciepłym mlekiem i napełniła go, przytrzymując kubeczek. Siedzieliśmy skuleni na łóżku, obserwując ceremonię karmienia dorosłego mężczyzny. Było coś tak tragicznego i strasznego w tym momencie, że zaczęliśmy wszyscy płakać. Matka pochylona nad nim szeptała: Pij, pij, biedaku póki ciepłe. A nas uspokajała: cicho dzieci, cicho. Potem dała mu jeszcze naszego krupnika, przyniosła z komory stare ubranie ojca i jakąś bieliznę, rozebrała go z łachów i od razu je spaliła. Gdy tak siedział już przebrany, powiedział coś takiego: Mamasza, mamasma, mnie dwadzieścia trzy lata, ja chcę żyć! Wtedy matka też się rozpląkała. Potem mówiła bezładnie: On ma 23 lata! Będziesz żył, zaraz cię zaprowadzę, ukryję. A nam przykazała, żebyśmy siedzieli w łóżku, dopóki ona wróci. Nie pamiętam, jak wrócił ojciec z lasu, nie pamiętam następnych dni czy tygodni. Przypominam sobie, jak obudziłam się z jakiegoś strasznego snu, a nade mną pochylała się ciotka Marcela i mówiła: Pij, pij rumianek, pij sieroto...! Obok mnie na łóżku leżała malutka Marysia, trochę większa Stasia, a na drugiej sofce (pryca) leżał ojciec z Tadzkiem. W kołysce trzymiesięczny Lucio. Wszyscy chorzy na tyfus płamisty. Nikt do nas nie przychodzi! oprócz ciotki. Ciotka mówiła: Dobrze, że już wracasz do zdrowia, pomożesz mi, matkę twoją pochowaliś tydzień temu. Stryj zbił trumnę ze starych desek, a wuj Mikołaj zawiózł na cmentarz i pochował. Ojciec jeszcze w gorączce, dzieci też, poje ich rumiankiem, kwiatem lipowym, a tobie dawałam kleiku ze śrutowanej pszenicy, temu małemu też, chociaż nie wiem, czy on chory, czy słaby? Za parę dni zwlekłam się z wyrka i chwiejąc się na nogach pomagałam przy chorych, którzy powoli odzyskiwali świadomość, tylko ojciec wciąż był nieprzytomny. Ciotka też czuła się coraz gorzej, mówiła, że pewnie przechodzi tyfus, we wsi prawie w każdym domu ludzie chorowali, zmarły 22 osoby, ale przeważnie starsze, tylko moja mama miała 35 lat i osierociła pięcioro dzieci. Ciotka powiedziała, że jestem najstarsza i muszę zaopiekować się dziećmi, zastąpić im matkę.

Dziś wydaje mi się nieprawdopodobne, jak ja dałam radę tym obowiązkom. Ciotka nauczyła mnie, jak robić ług do prania, bo przecież mydła nie było, a trzeba było wytępić wszy i w głowach, i w ubraniach, i w pościeli. Wszystką bieliznę razem z pościelą gotowałyśmy w saganach od świńskich kartofli. Pierzyny i poduszki wsadzało się do pieca po upieczeniu chleba, ubrania też. Słomę w łóżkach wymienialiśmy na świeżą. Włosy nam wyszły po tyfusie, ale żeby nie wdały się wszy, ciotka smarowała głowy naftą, którą gdzieś zdobyła. Ojciec powoli wracał do zdrowia, ale jak się dowiedział, że matki nie ma, to załamał się zupełnie, był starszy od matki o 15 lat. Ja doilałam krowy, mleka było mało, bo zwierzęta były cielne. Ojciec karmił bydłatka i miał na tym ręcznym młynku zboże dla nas. Niemcy nie przychodzili do wsi, bo bali się tyfusu. Do pomocy przyszła wujenka Maryśka, bratowa matki. Ona zajęła się tym najmłodszym. Nauczyła mnie, jak gotować kleik z mlekiem i jak karmić małego z butelki przez szmatkę, bo smoczka nie było w całej wsi. Na wiosnę, jak już choroba wygasła, zaczęli do wsi przyjeżdżać ludzie z Warszawy po żywność – zamówiłam smoczek i przywieźli mi, kupiłam go za jajka. Najpierw ciotka lub wujenka piekły nam chleb, ale szybko nauczyłam się robić rozczyń z zakwasu. Trudniej było mi wyrabiać ciasto, byłam niskiego wzrostu, a dzieża wysoka, musiałam wchodzić na stół. Teraz sama nie wiem, jak ja to mogłam zrobić! Ciotka i wujenka miały swoje rodziny, niewiele mogły pomóc. A tu trzeba pracować, przygotować posiłek, odwieczny krupnik. Dzieci ubrać, nakarmić. Ojciec pomagał jak mógł, ale domowe prace wykonywałam ja. Szyłam ze starych szmat chodaki dla malców, robiłam skarpety na drutach lub takim szydełkiem z drewna, zrobionym przez ojca. Pielęgnowałam jak umiałam najmłodszego, przewijałam, pieluchy robiłam ze starej płachty, a to maleństwo leżało, popłakiwało i żyło. Bardzo się martwiłam, że nie może siedzieć, że chude... Lekarza nie było, bo ten, który mnie wyleczył przed wojną z dyfterytu, został wywieziony przez Niemców jeszcze w 39 roku. On mieszkał w Parczewie, nazywał się Tomaszunas czy jakoś tak.

Ale najgorsze jeszcze nas czekało. Pewnego ranka wyszłam do obory doić krowy i zastałam oborę pustą. Nie było krów naszych żywicieli! Grasowały w okolicy bandy i ukradli nam Łaciatą, która ciężko się doiła, i czerwoną Mećkę. Plakaliśmy wszyscy, miały wkrótce się ocielić. Przyszła ciotka, wujek, stryjek; rozpoczęli jakieś poszukiwania, lecz krowy się nie znalazły. Ciotka postanowiła, że będzie codziennie dawała pół litra mleka dla najmłodszego, za dzierżawienie łąki latem. Do drugiej ciotki Stasia poszła na pastuszkę za ubranie i buty oraz litr mleka. Co dzień dla rodziny ojciec starał się jak mógł, najczęściej wzdychał: Co tu począć, Boże, mój Boże... Tak się bałam, że on zwariuje. Z głodu nie umieraliśmy, ale wciąż byliśmy głodni. Marysia miała duży brzuszek i wystającą kość na piersi. Dzieciaki narzekały, wciąż tylko kartofle i krupnik, wołały: Daj chociaż troszeczkę mliczka! A mleczko było tylko dla Lucia. Wciąż się bałam, że zabraknie zboża na chleb. Kartofli też było mało, a trzeba jeszcze zostawić na sadzenie.

Pamiętam taki moment. Zaraz po tyfusie przyszedł stryjeczny brat Broniek, zabił jakąś starą kurę na rosół, oprawiliśmy ją wspólnie, rosół się gotował, nie mogliśmy się doczekać, a Stasia ukradkiem wsadziła odciętą głowę kury do popielnika, tak jak się piekło ziemniaki, po chwili wyjęła ją na pół surową i zaczęła ogryzać! Taka była głodna! Moim marzeniem o jedzeniu dzieliłam się z rodzeństwem. Wieczorem, siedząc przy otwartych drzwiczkach kuchni i czekając na ziemniaki pieczone w popielniku, mówiłam: Jak kiedyś będę bogata, zawsze będzie w komorze worek kaszy, worek maki i garnek smalcu!

A na razie nasz okupacyjny głód zaspokajałam warzywami własnej uprawy, chociaż nie bardzo chciały rosnąć, bo nic było obornika. Latem z rodzeństwem szliśmy do lasu na jagody i suszyliśmy je na zimę, to była okrasa do klusek. Zabierałam też na jagody tego najmłodszego, dźwigałam go na plecach, bo nie chodził. Usadzałam w jagodniku na płachcie, dostawał gałązki z jagodami, a my zbieraliśmy. Zawsze grzyby też się znalazły, to było wspaniałe jedzenie. Ojciec w tym czasie pracował u ludzi, żeby mógł dostać konia do uprawy naszej roli. Sialiśmy co roku zagon lnu, bo ubrania się darły, więc trzeba było robić lniane płótno. Obrządzać len i prząść nauczyła mnie mama, a ciotka pomogła nastawiać krosna i tkąć płótno, potem bielić na rosie. Naprawdę nie wiem, jak mogła to robić 13-letnia dziewczyna!

Między zagonem lnu zawsze siałam kilka rzędów buraków cukrowych, to też trzeba było ukrywać przed Niemcami. A ja z tych buraków i z jagód lub innych owoców, które dostawałam od ciotki, robiłam marmoladę. U nas sadu nie było. Czy wiecie, jak czekaliśmy na pierwsze kartofle, największy przysmak? Trzeba je było podbierać spod krzaka, te mniejsze miały dalej rosnąć. Kartofle marnie rodziły, bo nie było obornika i późno je sadziłyśmy; dopiero jak ludzie się obrobili, to pożyczono nam konia. Przednówek dawał się nam we znaki, starczało tylko kaszy gryczanej. Gryka na naszym polu ładnie rosła. Tato wiedział, gdzie są potajemne kaszarnie i nocą nosił grykę do zrobienia na kaszę. Z siemienia lnianego robiliśmy też olej, olejarnia była ukryta w sąsiedniej wsi. Ale wszystkiego było mało!

Gdy przychodziły wykopki, szłam do kopania u ludzi, a to za konia, a to za kawałek słoniny, a to, żeby pomogli wykopać i zwieźć nasze ziemniaki.

Od września do połowy października kopaliśmy motyczką całe dni. Najmłodsze dzieci, to znaczy Marysia i Lucio, zostawały w domu, rano gotowałam im jedzenia na cały dzień i tak jakoś żyły. Lucio nie chodził i nie mówił, ale mnie wydawał się bardzo mądry, umiał po swojemu upomnieć się o jedzenie, sygnalizował potrzeby fizjologiczne, cieszył się, gdy ja wracałam, a ja martwiłam się, że będzie kaleką, chociaż sąsiadki mówiły, że może ma jęczyzek przyrośnięty, że lekarz mógłby pomóc, ale lekarza nie było.

CHOROBY – głód dawało się jakoś zaspokoić, do ciężkiej harówki i obowiązków ponad siły przywykłam, ale najwięcej bałam się chorób. Nie przeziębienia czy bólu brzucha, bo na to miałam zioła, jagody na rozwolnienia, piołun i centuria oraz dziurawiec, jak dzieci miały inne bóle brzuszka. Kwiat lipowy i liście malin na gorączkę, czarny bez na kaszel. Ale skądś się przywłókł świerz! Może ojciec zaraził się od Żydówki, którą ukrywał jakiś czas w słomie, w tej dziurze, co ja się chowałam podczas łapanek. W każdym razie wszyscy mieliśmy krosty najpierw pomiędzy palcami, pod pachami, w pachwinach i na całym ciele. Nie pomogła kąpiel w ługu. Nikt z sąsiadów do nas nie przychodził, wszyscy się nas bali jak zadżumionych. Dopiero ciotka Marcela poradziła, co mam zrobić. Tak jak z wszami, wszystkie ubrania i pościel wygotować w ługu, wypiec w piecu po chlebie, ale przedtem ojciec musi zdobyć w Parczewie dziegiu. Zdobył! Wysmarowaliśmy się wszyscy na czarno, siedzieliśmy w domu przez trzy dni, a potem kąpiel w ługu w balii i przebieranie się w czystą wyparzoną bieliznę i pościel. Dobrze, że choroba była na przedwiośniu, było jeszcze zimno, łatwiej utrzymało się czarnych golasów w chałupie. Na wiosnę już świerzbu nie było, wszyscy dziwili się, jak ja to wyleczyłam, na pewno matka nieboszczka uprosiła u Boga zdrowie dla dzieci. Ale następnej zimy zaatakował nas koklusz, taki straszny kaszel. I znowu nikt do nas nie przychodził, każdy się bał, żeby się nie zarazić. Nie pomagały ani herbatki z dzikiego bzu, ani kwiat lipy, rumianek trochę łagodził kaszel. Ciotka mówiła, że mleko gorące z masłem trzeba pić, ale tego nie było dla nas, ledwo starczało dla Lucia.

Czy wiecie, jak strasznie wygląda dziecko duszące się od kaszlu? Czy wiecie, jak się bałam, gdy dziecko jedno po drugim dostawało ataku kaszlu? A i na mnie też przychodził kaszel, ale ja byłam najstarsza, a te najmłodsze tak strasznie się męczyły. Ojciec nic nie mógł poradzić tylko wzdychał: Boże, mój Boże!... Nikt z nas nie umarł, ale męczyliśmy się przez trzy miesiące. Tylko to najmłodsze dostało jakiejś gorączki, leżało obracając główką po poduszce to w prawo, to w lewo. Ale przeżyło. Tylko długo po tej chorobie nie

mógł siedzieć, ale jakoś wyzdrowiał, gdy kończył trzeci roczek, zaczął nawet chodzić, lecz powłóczył nóżkami i dziwnie podrygiwał. Nie mówił, chociaż wszystko rozumiał. Opiekowałam się nim jak umiałam i pracowałam, pracowałam od świtu do nocy.

NAUKA – była u nas stara kantyczka z kołędami, godzinkami, pieśniami postnymi, gorzkie żale, a na końcu jasełka. W niedzielę, jak już wszystko obrządziłam, siadałam z dziećmi i czytałam jasełka.

Cieszyłam się, że ojciec tej kantyczki nie schował. Godzinki śpiewaliśmy przy gotowaniu śniadania, umiałam je na pamięć, tak jak wiele kołęd czy innych pieśni. Ale jasełka trzeba było czytać. Na Boże Narodzenie robiliśmy przedstawienie, przebierałam dzieci za Heroda, diabła, śmierć. Ze szmat i ręcznika robiłam dzieciątko, bo Lucio nie chciał leżeć w żłóbku zrobionym ze stołeczka odwróconego do góry nogami; i tak przenosił się w inny świat! Dzieci zaczęły się interesować literkami, pokazywałam im i mówiłam, jak się która nazywa. Zimą pisaliśmy patykami na śniegu, latem na piasku i jakoś tak Stasia i Tadek nauczyli się czytać. W długie zimowe wieczory, jak byli chorzy, opowiadałam im bajki, które kiedyś przed wojną czytałam. Policzyliśmy, że umiem 135 bajek, na pewno wiele zmyślałam. Najchętniej dzieci słuchały, jak to będzie kiedyś, gdy pójdą do szkoły i tato kupi im kredki, takie dwanaście kolorów, o których nie miały pojęcia! Mnie to nawet śniły się te kredki i farbki z pędzelkiem, i książki. To wszystko było nieosiągalne. Babka Sewerycha mówiła; Pracuj dziecko, pracuj, jak dorośniesz, to może jakiś wdowiec się z tobą ożeni, bo umiesz opiekować się dziećmi! A ja nie chciałam wychodzić za męża, chciałam się uczyć! I Chciałam uczyć innych! Nic nie wskazywało, że moje marzenia się spełnią, wojna trwała nadal, zimy były bardzo mroźne, trzeba było pilnować rodzeństwa, żeby nie pomarзли. Wciąż naszywałam łaty na stare ubrania, podszywałam chodaki, suszyłam wieczorami przy piecu, bo dzieciarnia wybiegała na śnieg nawet boso. Często trzeba było moczyć odmrożone nogi w ciepłym moczu, żeby się wygoiły. Nikt nie wie, jaka rozpacz ogarnia, gdy zgubi się igła, nic ma czym przyszywać łat! Nikt nie zrozumie, że można rozpaczać, gdy z nasadzonych na wiosnę kurcząt zamiast 21 wylęgnie się 10, a do tego jeszcze wrony ukradną 3. Kury – to były jajka na wymianę za igły czy inne towary. Zapalki nie były konieczne, umiałam krzesać ogień krzesiwem. Żyłam w ciągłym strachu, że czegoś zabraknie, że Niemcy zabiją ojca. Pamiętam, jak przybiegła moja koleżanka, córka sołtysa, i powiedzieć, że żandarmi są w drugim końcu wsi i szukają świń u tych, co nie oddali kontyngentu. Ojciec akurat kupił czy zarobił małego prosiaczka i cieszyliśmy się, że urośnie na mięso. Wziął tego świniaczka i zaniósł na strych nad domem, bo w chlewie żandarmi mogli szukać. Ledwie zakrył dziurę w suficie w sieni i wyniósł drabinę do stodoły, gdy wpadli żandarmi, trzech weszło do izby, krzycząc: Szwinie, szwinie dawać, gdzie masz, dawaj! Ojcu kazali położyć się w sieni, bili go, kopali i krzyczeli o tych szwiniach! Dzieci płakały, krzyczały, ja powtarzałam; Nie ma świni, nie ma! Tak się bałam, że ta świnka tam na strychu zacznie kwiczeć i już będzie po nas! Lecz żandarmi, patrząc na płaczące dzieci i na nędzę, zorientowali się, że nic tu nie zyskają – odeszli, śmiejąc się.

Prosiak nie urósł, chorował i trzeba go było zabić, ale mięso i tak zjedliśmy tylko gotowane bardzo długo.

Pamiętam inne najście Niemców, też szukali kontyngentu. Rankiem ojciec akurat miał w kuchni tym zrobionym młynkiem żyto na chleb, gdy wpadła sąsiadka, mówiąc: Niemcy są na kolonii, szukają zboża! Tata schwycił ten młynek i miskę ze zmielonym zbożem, wsadził wszystko do łóżka pod pierzynę, a mnie kazał ściągnąć sukienkę, poszczypać twarz, żeby była czerwona, i wepchnął w pościel. Małym kazał porozsiadać się na podłodze, rozsypał po kuchni trochę popiołu, żeby nie było widać poproszonej mąki. Mnie mówił: Zamknij oczy i udawaj chora. Natarł mi jeszcze policzki szorstką szmatką, żeby wyglądały na rozpalone gorączką. W tej chwili wpadli żandarmi. Tata, pokazując na mnie wołał: – Tyfus, tyfus, krank...! Niemcy wystraszyli się i odjechali ze wsi. Taka to była moja nauka, takie było moje wojenne dzieciństwo. Wieczny strach, zmartwienie i praca. Pod koniec 1943 roku i w 1944 Niemcy już tak często nie zaglądali do naszej wioski pod lasem, mówiono, że boją się partyzantów, przecież niedaleko były lasy parczewskie. Zaraz po wyzwoleniu zorganizowano w naszej wsi kursy szkoły podstawowej. Cały dzień zajmowałam się swoimi obowiązkami, a wieczorem chodziłam na taki kurs. Przy robocie domowej odmieniałam przez przypadki rzeczowniki, powtarzałam tabliczkę mnożenia, uczyłam się wierszy i dat. W trzy miesiące ukończyłam siedem klas szkoły podstawowej. Rodzeństwo chodziło do szkoły normalnie, ale tylko wtedy, gdy nie pasalo krów u ludzi. Tylko Lucio, biedny wojenny kaleka, nie skończył żadnej szkoły, żyje, jest inwalidą pierwszej grupy z nędzną rentą. Wszyscy pokończyliśmy szkoły średnie, a i wyższe. Piszę o tym naszym wojennym dzieciństwie, żeby młodzi wiedzieli, jak się żyło w czasie wojny, żeby pamiętali. Moje dzieci, gdy im opowiadałam, jeszcze wierzyły, a wnuki słuchają jak bajki.